

WY_KRACZANIE



Wioska Teatralna
wrzesień 2021

(...) W wioskach, których wcale nie ma,
bo śmierć przez nie przeszła niema –
wierząc swej nadziei złudzie
giną ludzie.

Wielbiąc każde przykazanie,
zapis świętych praw w Koranie,
Ewangelii i Talmudzie
giną ludzie. (...)

Josif Brodski

Wioska Teatralna – nic innego jak małe centrum świata w procesie. Laboratorium przyszłości. To tu w kameralnym gronie rozmawiamy o tym, co dla lepszego świata najważniejsze. Lepszego, czyli równego, mniej zachłannego, bardziej świadomego, bardziej dla wszystkich. Gospodarze zapraszają ważnych gości, ale formuła jest egalitarna i otwarta – każdy głos słyszać tu bardzo wyraźnie. Geografia pomaga, bo nie przychodzi tu nikt nadaremno. To tu po raz pierwszy rozmawiałam z antyszczepionkowcem. Można by pomyśleć – takie miejsca jak Węgajty – alternatywy, przyciągają poszukiwaczy różnych Graali. Niestety antyintelektualizm to wielkie zagrożenie wolnego myślenia, które w końcu musi otrzeć się o utopię, żeby przełamać skostniałe schematy. Mimo to, że nigdy się z moim rozmówcą nie zgodzę, to właśnie tu po raz pierwszy w atmosferze bliskości i szacunku, spotkałam innego, a on usłyszał moją, zgoła odmienną historię. Czy zaszła jakaś zmiana? Oczywiście, to wielce niedoceniana zmiana, bo jeszcze niezmaterializowana. Zmiana polegająca na tym, że o tym myślę, że to przepracowuję, że cieszę się z ujawnienia swoich poglądów w pokojowy sposób. To właśnie to ważne spotkanie zabieram dla siebie z Wioski Teatralnej 2021.

Maja Dobiasz-Krysiak

FUGA O KATAKLIZMIE

O słowie „rozziew” w kontekście przedstawienia IST

„O Matko, weź tu teraz rób coś na temat rozziewu!”. Ekspresyjny komentarz Erdmute Sobaszek – najbardziej doświadczonej adeptki Innej Szkoły Teatralnej i jej współtwórczyni, wobec tematu improwizacji zaproponowanego wykonawcom IST na początku 2020 roku przez reżysera Wacława Sobaszka, wyraźnie świadczy o ogromnym wyzwaniu, z jakim musieli zmierzyć się aktorzy. Ten chyba najtrudniejszy do wykonawczego opracowania z tytułów dotychczasowych przedstawień IST okazał się, jak często bywa z propozycjami Sobaszka, przenikliwie trafny wobec pandemicznej rzeczywistości, o której w styczniu 2020 roku nawet nam (tzn. społeczeństwu globalnej wioski) się nie śniło. Rozziew jako – zjawisko, stan, doświadczenie, precyzyjnie pozwolił ukazać coś bardzo abstrakcyjnego, subiektywnego i aktualnego.



fot. Magda Bremer

W tym kontekście niezwykle interesujący wydaje się szeroki obszar znaczeń przywoływanych w języku polskim przez niepozorny przedrostek „roz” obecny w omawianym słowie. Ten obszar znaczeniowy obejmuje m.in.: różnokierunkowość w ruchu przestrzennym, podzielenie czegoś na części, wyczerpanie zasobu, zwiększenie zasięgu, zakresu, intensywności czegoś, początku jakiejś czynności, stanu, procesu, często o narastającej intensyfikacji. Co ciekawe wszystkie te znaczenia odnaleźć można w społecznym doświadczeniu pandemii, a głębiej potężnego kryzysu obecnej cywilizacji (organizacji społeczeństw/człowieczeństwa), wobec którego pandemia pełni funkcję czubka góry lodowej.

Uwagę przykuwa także wieloznaczność całego terminu „rozziew” znanego z jednej strony ze specjalistycznego słownika teorii literatury jako sąsiedztwo dwóch samogłosek występujących wewnątrz wyrazu bądź na styku dwóch wyrazów. Rozziew/hiatus określa w tym kontekście taki zestrój głosek, który odbiega od normy, jest dziwny i niesymetryczny, ale w pewnych epokach literackich bywał poszukiwany jako wyraz estetycznego kunsztu i pięknego brzmienia, pożądanej dziwności.

Poza tym specjalistycznym, „intelektualnym” znaczeniem, „rozziew” jako słowo ma bardzo ścisły związek z ciałem poprzez ziewanie. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że podczas odruchowego wykonywania głębokiego wdechu i wydechu dochodzi, co niezwykle istotne, do pełnej wymiany gazowej we wszystkich pęcherzykach płucnych. Przy czym ziewanie bywa spowodowane brakiem pobudzenia, potrzebą snu, niedotlenieniem. Ziewanie wbrew przesądom to nie tyle wyraz znudzenia, ile czynność życiodajna – poprawia przepływ krwi, chłodzi mózg, pomaga w usuwaniu z ciała ogromnych napięć umiejscowionych m.in. w zuchwie. Dodatkowo bywa zaraźliwe, a jego zaraźliwość może mieć swoje źródło w funkcjonowaniu neuronów lustrzanych, tych samych, których praca według jednej z teorii ściśle wiąże się z naśladownictwem, a to z kolei jest jedną z podstaw uczenia się. Nieco upraszczając, można podsumować, że zarażając się ziewaniem rozluźniamy się, uczestniczymy we wzajemnym współuczeniu, pobudzamy się do aktywności, wpuszczamy powietrze, tam, gdzie go brakuje, oddychamy pełną piersią, chłodzimy przegrzane mózgi, odzyskujemy inny wymiar bycia.

Dokładnie takie działanie, przynajmniej na niektórych widzów miało przedstawienie *Rozziew* w reżyserii Wacława Sobaszka. Nie ma tu jednak miejsca na szczegółową analizę spektaklu. Na jedną rzecz chciałbym zwrócić uwagę. Być może specyficzny czas pracy nad przedstawieniem, bogate doświadczenie performerskie wszystkich aktorów (wiele z zaproponowanych scen stanowiło tak naprawdę mini-spektakle), a być może sam tytuł wpłynęły na stworzenie w *Rozziewie* wyjątkowo bogatej i wielowarstwowej struktury dramatycznej, którą można zestawić z fugą. Fuga jako jedna z najbardziej kunsztownych struktur muzycznych realizuje zasadę ścisłej polifonii, wymaga wielu głosów oraz kilku tematów. Temat, pojawiający się w kolejnych odsłonach z towarzyszącym mu kontrapunktem, jest jednym z najważniejszych czynników decydujących o ostatecznym kształcie fugi. *Rozziew* IST z głównym nagłym tematem – niezbędną potrzebą ochrony Matki-Ziemi i wyczerpywaniem czasu na to, by to było jeszcze możliwe oraz postawą człowieka niczym Beckettowskiej pałuby ze *Szczęśliwych dni* jest równie kunsztowny co wstrząsający. Jediną nadzieję przynosi przekonanie, że być może w tym zmaganiu z całkowicie niepewnym rezultatem, nad uschłym bagnem i chorą Ziemią nie jesteśmy sami, towarzyszy nam prastara przewodniczka – Baba, która po śmierci przemieniła się w wielki omszały kamień, w małego szarego ptaszka „albo zamieszkała w spróchniałym pniu, w każdym razie [mimo wszystko] w szumie liści dalej brzmi pieśń nocy i dnia”. Może zatem coda wieńcząca IST-ową fugę nie oznacza ostatecznego kataklizmu?

Magdalena Hasiuk



fot. Magda Bremer

PIONKI CZY PIONIERKI?

„Kobiety na traktory!” – nawoływał znany PRL-owski slogan. Natomiast z propagandowego plakatu uśmiechała się młodziutka traktorzystka zachęcająca młodzież „do walki o szczęśliwą socjalistyczną wieś polską”. Tą dziewczyną z plakatu była Magdalena Figur i to właśnie jej losy stały się inspiracją dla Domeli Grendy do stworzenia spektaklu *Pion(ier)ki*.



Reżyserka i wykonawczynie sięgnęła po różnorodne materiały źródłowe, by przyjrzeć się kobietom-traktorzystkom. Spektakl pokazuje ich marzenia i ambicje, ale także zderzenie z rzeczywistością. Duża opona wykorzystana w spektaklu staje się symbolem fascynacji młodej wiejskiej dziewczyny przyszłym zawo-

dem. Od początku przedstawienia Domela Grenda zdaje się oswajać ten przedmiot, jak gdyby pokazywała, że nie ma nic niewłaściwego w fakcie, że kobieta zasiada za kierownicą traktora. Jednak wysiłek aktorki włożony w podnoszenie i przesuwanie ciężkiej opony po scenie uzmysławia znacznie więcej – wskazuje na istnienie wielu trudności i przeszkód, z którymi musi się mierzyć bohaterka.

Historia traktorzystek jest przecież jednocześnie opowieścią o kobiecej emancypacji. I nie chodzi tu jedynie o przejmowanie pracy, uważanej wcześniej za typowo męską. Trzeba było wiele determinacji, żeby ukończyć stosowne kursy, konkurując z mężczyznami, i wiele siły zarówno fizycznej, jak i psychicznej, by podołać ciężkiej pracy na wsi. Często trzeba było podejmować trudne życiowe decyzje – pracować bez wytechnienia jak Magdalena Figur i nie zakładać rodziny czy zrezygnować z pracy na rzecz macierzyństwa? Inny wątek pojawiający się w tym spektaklu to stosunek kobiet do pracy – postać grana przez Domelę Grendę jest zaangażowana w swoje działania, podchodzi do nich z perfekcjonizmem i rzetelnością. Ma też zdolności przywódcze (prawdziwa Magdalena Figur faktycznie kierowała brygadą traktorzy-

stek), sprawdza się jako kierowniczką, koordynując pracę innych. Bohaterka tego spektaklu jest więc prekursorką dzisiejszych liderek, babką współczesnych kobiet, które podobnie jak ona mają marzenia i ambicje, chcą realizować się na różnych polach i pragną szacunku innych. Wydaje się więc, że traktorzystki były pionierkami nie tylko w socjalistycznym rozumieniu tego słowa.

Tylko czy ich zaangażowanie, oddanie pracy, upór i dążenie do celu przyniosły im taki szacunek, na jaki zasłużyły? Rzeczywistość, w której przyszło żyć traktorzystkom, wcale nie była przecież tak kolorowa, jak na propagandowym plakacie. Ani tak przyjazna kobietom, jak przekonywały Kroniki Filmowe, których fragmenty Domela Grenda wykorzystwała w spektaklu. Zresztą i późniejszy, potransformacyjny czas też nie był dla traktorzystek łaskawy. Kończąca spektakl scena, w której stara, schorowana bohaterka przyjmuje serię lekarstw, siedząc w środku opony od ukochanego traktora, jest tego najlepszym dowodem.

Smutne to zakończenie, ale przecież prawdziwe. Jak wyjaśniała po spektaklu Domela Grenda, traktorzystka Magdalena Figur spędziła końcówkę swojego życia w domu opieki i zmarła w zapomnieniu. Spektakl *Pion(ier)ki* jest więc próbą przypomnienia postaci traktorzystek. Ale także buntem przeciwko roli pionka, którą władza próbowała narzucić nie tylko dziewczynie z propagandowego plakatu.

Joanna Królikowska

SKĄD A DOKĄD

Dynamo rzezi jak organki z odpustu, a ja mijam przy jego migotliwym światełku rozstaje na gruntowej drodze, las, łąki, pod górkę i znów na dół. Cały ten rower, czarna Ukraina, gra jak fatalna orkiestra. Brnę w ciemność. Mój bagaż, worek brezentowy, skrzypce i bębenek, ciężą przywiązane sznurkiem do ramy. Jest późno, więc myślę sobie, jak też ta Warmia wygląda w świetle dziennym, teraz, po piętnastu latach, co się zmieniło, co zostało, co w ludziach siedzi, czy może już ludzie nie ci sami? Wracam po latach, ale rano się okaże, czy nie jestem tu jednak po raz pierwszy... Mam, strzałka na słupku oznajmia „teatr”, to już Węgajty.



fot. Mateusz Raszewski

Pierwszy obrazek. Rano w stodołę wrzawa. Werka gra na mandolinie, Maria składa aktualną gazetkę, Magda wyżywa się w kuchni, pastwi się nad jakimś wegańskim sosem, Honza wyciska właśnie doorsów na fisharmonii, a ja, ja patrzę na to wszystko. Wygląda na chaos, ale czy rzeczywiście? Para Holendrów przyjechała na Wioskę Teatralną kamperem, chcą się dowiedzieć, jacy są teraz Polacy. Jest Kanadyjczyk, ożenił się w Polsce, ogrzewa ręce nad ogniem, zachwycony tym wspólnym byciem, tego nie ma w Kanadzie – mówi. Honza też, wrósł w węgajstką rodzinę, cho-

ciaż jego domem Czechy. Tak zawiązuje się mikrospołeczność, pisze się nowa tradycja. Ten bajzel o punkowej proveniencji to po prostu atmosfera wspólnej kreacji. Chmura kreacji. Jesteś, więc tworzysz, uczestniczysz. Nikt wtedy nie jest niepotrzebny.

Perspektywa moich obserwacji wynika z prowadzenia wielu performatywnych działań w lokalnych społecznościach wiejskich. Pod prąd wdramy do życia w warunkach galopującej nowoczesności sędziwych muzykantów, dawnych „szamanów” wesel, teraz wyplutych przez wieś i niepotrzebnych, a jednocześnie tych samych, którzy dawniej przewodzili w obrzędach i skinieniem palców wzbudzali zbiorową euforię, oberkowy trans. Interesujący jest wspólny mianownik tych zjawisk. Doświadczenie Wioski Teatralnej i Taboru kaliskiego – wiejskiego festiwalu, który organizuję – wynika z podobnej potrzeby. Tabor również prowadzi do stworzenia mikrospołeczności, tutaj akurat skupionej wokół fenomenu wiejskich muzykantów. Obydwa dążą do wytworzenia silnej grupy zapalnej, skoncentrowanej na pewnym określonym zjawisku, dopiero wtedy zaistnieje szansa, że turbina kołem zamachowym zacznie kręcić się sama i pociągnie innych.

Drugi obrazek. Wieczorem tłok. W kominkowej sieni teatru ludzie stoją cierpliwie, w nabożnej ciszy, zaraz spektakl. Chociaż w sali teatru ostatnie przygotowania i czas skupienia, chwilę później pryska bariera artysta-odbiorca a po wszystkim bruderszaft i niekończące się rozmowy z autorami przy ogniu. Myślę, że to idealny model teatru, spotkanie.

Jeszcze jeden przykład łamania tej samej bariery, „pogotowie muzyczne”. W sobotę mamy plan objazdu po okolicznych gospodarstwach, o wiele większy niż możliwości czasowe. Wchodzimy z muzyką na podwórka, zamieniamy je w tańczący wir, w międzyczasie dołączają kolejni, spóźnieni, wskakują w środek wiru. Znowu spotkanie o zatartych, nieistniejących granicach. To jest spotkanie na ponadczasowej, muzycznej płaszczyźnie. Kiedyś na tej płaszczyźnie wieś rozwiązywała małe i duże problemy, łatwiej było o nich powiedzieć, łatwiej zrezygnować i zapomnieć. To już nie te realia, ale może uda się i teraz? Ważne, że dochodzi do spotkania.



fot. Magda Bremer

Obrazek trzeci. Obudziłem się i patrzę w sufit cygańskiego wozu, żółte gwiazdki wirują, powyżej szary krążek, to księżyc. Ptaszki przelatują po odeskowaniu, farba z nich spada. Trudno odpędzić myśli o tej niezwykłej społeczności, która tutaj istniała. Trudno odpędzić myśli o innych społecznościach i kulturach, które miały tu swoje miejsce, nie ma po nich śladu.

Jak więc ta Warmia wygląda dzisiaj? Ale nie o krajobraz tu chodzi, choć ten też ważny. Mówi Erdmute: pozanikały więzi sąsiedzkie, te które były; ludzi już nie łączy gospodarka, każdy sobie; nie przy-

chodzą do siebie, w to miejsce urosły spory, które wcześniej były mało istotne. Ale pojawiają się promyki, zwiastuny zmian. Warmia zapełnia się bardziej świadomym uczestnikiem życia społeczno-kulturalnego. I na tym gruncie rośnie rola Teatru i jego pracy na polu więzi sąsiedzkich. Jeśli nie ma szansy na mądrze gospodarującego chłopca-autochtona, sytuację ratuje gospodarz przyjezdny (oby tylko chciał gospodarować), który wie albo chociaż rozmyśla o tym, jak można pozytywnie wpłynąć na okolicę, lokalne więzi społeczne, nie zniszczyć otaczającej przyrody. Ta kontra jest miłą nadzieją. Oddolne inicjatywy, Wioska Teatralna czy Sztuka w Obejściu, które podglądam, to na nich spoczywa główny ciężar. Ale muszą funkcjonować w nienarzucający się sposób, w przeciwnym razie bańka prysnie.



fot. Mateusz Raszewski

Rozmyślałem o kierunkach rozwoju tych inicjatyw, które od kilku dekad z takim pozytywnym skutkiem wpływają na życie społeczne tej okolicy. Obserwuję to z zainteresowaniem, ponieważ pracuję nad jedną z terenowych szkół tradycji Akademii Kolberga i powołałem Kulturalny Ruch Oporu – fundację, która działa na bardzo podobnej niwie. Stąd też wiem, że istnieją utopijne kierunki. Tak jak mówi Erdmute, zaszły nieodwracalne zmiany w ludziach. Ja oczywiście zrozumiałem, że odbudowa ekosystemów społecznych nie jest już możliwa naszymi rękami, ale z całego serca życzę sobie tak konsekwentnie realizowanej alternatywy kulturowej, jak obserwuję tutaj. To sieciowanie i angażowanie kolejnych gospodarstw w ramach Sztuki w Obejściu też udaje się wzorcowo. A pełna sala teatralna w rzuconej gdzieś

wśród łąk stodoły, daleko od miast, mówi sama za siebie. Teraz mijam już Jonkowo, pod kościołem młoda para, pod sklepem kilku ostrych zawodników a na ławce przy głównej drodze „chór grecki” komentuje bieg wydarzeń, wszystko zdaje się płynąć swoim zwyczajowym rytmem.

Mateusz Raszewski



fot. Mateusz Raszewski

HISTORIE ODDOLNE CHŁOPSKIE I BABSKIE. REFLEKSJA PO SPEKTAKLU

Spektakl Małgorzaty Litwinowicz to opowieść, która pozwala zastanawiać się, czym są historie oddolne i ludowe. Nie będę analizować tekstów źródłowych, poetyckich i prasowych, z których skorzystała Małgorzata Litwinowicz. Pozwolę sobie podzielić się refleksjami widzki, odbiorczyni, której przedstawione treści – precyzyjnie skonstruowane w ludową mozaikę – pozwalają pomyśleć, co to znaczy oddolnie działać, opowiadać, organizować się i współgospodarować. Wszystko to, co tutaj przeczytacie to opis spektaklu, który zobaczyłam ja. Ty zobaczyłeś i zobaczyłaś coś zupełnie innego.

Opowieść rozpoczyna się od osadzenia chłopów i chłopek w społecznym pejzażu – pejzażu, bo grupa chłopska, była grupą, najbardziej ze wszystkich grup społecznych, związaną z przyrodą i światem natury. „Największe wysiłki fizyczne i umysłowe poświęcali chłopi, by nas karmić. Wskutek tego ich kontakt z przyrodą był tak intensywny, jakiego nie posiadali nawet naukowcy”. Ich wiedza i wynikająca z niej praktyka szacunku i koegzystencji tworzyła związki z przyrodą, dzisiaj

rzadko już spotykane. To relacja nawiązana z dobrej konieczności, służąca przetrwaniu i zaspokajaniu potrzeb. Gdyby nie przyroda, wiedza o niej, umiejętność jej obserwowania, życie chłopskie nie mogłoby istnieć. To wszystko budowało też coś, co nazwać ekliwie można sensem życia.

Tematem wrześnieowej Wioski Teatralnej były „Wiejskie innowacje”. Nazwa, można prowokacyjnie rzec, oksymoroniczna. Stereotypowo i tendencyjnie wieś kojarzyć się chce z zacofaniem, ze z góry przegraną gonitwą za miejską progresją i technologią, z biedną w porównaniu z konsumpcją miejskich galerii ofertą wiejskich sklepików czy targów. Czy tak? No właśnie nie. Hasło tegorocznej Wioski na osi czasu każe cofnąć się i poszukiwać oddolnych praktyk chłopskich, zaś we współczesności tworzyć mniejsze społeczności, oparte na suwerenności, autonomii i pomocy wzajemnej. Czy to możliwe? Tak. Teatr Węgajty, EtnoWarmia, Galeria Ręką Dzieło, Gospodarstwo Ekologiczne w Godkach i wiele innych gospodarstw na Warmii i innych regionach Polski są na to dowodem. Czy to trudne? Niezwykle. Miejskość, kultura miejsca, jej atrakcyjne (usługi, możliwość pracy, dobra konsumenckie, oferta kulturalna) i mroczne (widzialne nierówności społeczne, gentryfikacja, problemy mieszkaniowe, nadużycia pracownicze i inne) wymiary wciągają nas. Dlatego dobrze jest zastanawiać się, jak działać, co robić, gdzie się organizować, żeby mrocznej stronie przeciwdziałać.

W tej historii jakubowej Szela spada z piedestału. A patrzy na niego Maryna, ukazywana dotychczas w cieniu jakubowych chłopskich walk, w opowieści Małgorzaty Litwinowicz staje się niezwykle ważna. Sprawa babska skłania do namysłu nad tym, jak opowiadać historie oddolne. W jednym z wywiadów Litwinowicz wspomina o tej trudności i zarazem konieczności – w opowiadaniu historii oddolnych nie możemy reproduковать historii podbić, imperializmów i panowania. Wymiana pomników nie jest rozwiązaniem. Kiedy, jak nie dzisiaj, skupić powinniśmy się na praktykach społecznych, które gwarantowały grupom wykluczonym przetrwanie. O relacjach władzy opowiadać trzeba krytycznie z naciskiem na odzyskiwanie sposobów oddolnych i społecznych praktyk rewolucji. Nie wszystko jednak w historiach chłopskich warto jest odzyskania. Maryna wchodzi w związek małżeński na siłę. Jest ofiarą chłopskiego patriarchatu. „Maryna idzie w Wicka, w Wic-

ka, parobka i tak upływają cenne, senne godziny, spędzane na tym, co jest możliwe teraz, bo żadnej przyszłości przecież i tak nie ma”. Wicek bohaterem historii jest krótko. Do momentu, aż Szela, w agresywnym męskim szale, go z niej wykluczy.

Maryna jest bohaterką, której emancypacja się nie wydarza. Pisanie o niewydarzonej emancypacji jest dla mnie zasadne. Współcześnie i od wieków bohaterów i bohaterek, których emancypacje się nie wydarzają, są całe miliony. Kobiety, osoby uchodźcze, społeczność LGBT+, osoby z przemocowych środowisk, dziedzice i dziedziczki traumy.

Namysł nad relacjami organizującymi życie chłopów i chłopek, życie klas ciemionych i nieuprzywilejowanych pozwala odkrywać źródła relacji władzy. Zarówno w feudalizmie, jak i kapitalizmie owe relacje określone były i są przez posiadanie, własność, pieniądze, które pozwalają panować i rządzić. W świecie grup nieuprzywilejowanych ekonomicznie relacje władzy widoczne są w stosunkach międzyludzkich, chociażby w silnym patriarchacie, współcześnie również homofobii, klasizmie czy rasizmie. Jedno niestety nie wyklucza drugiego. Kapitalizm i neoliberalizm, nieważne jak bardzo będą chciały mydlić nam oczy tęczą, rzekomym równouprawnieniem czy zatrudnianiem migrantów, tak naprawdę karmią się wykluczeniem i w obrzydliwy sposób generują dzięki niemu zyski. Jeżeli system opiera się na zysku i władzy najbogatszych, nie zniesie przecież nierówności, które władzy pozwalają trwać i rosnąć w siłę.

Zaopiekowane relacje społeczne, szacunek do przyrody i wszystkiego, co w sobie zawiera (zwierzęta ludzkie i nieludzkie) to droga do społecznej zmiany. W kapitalizmie spełnienie życiowe i sukces dyktowane są wypornością portfela i konta bankowego. Przez pieniądź kompensujemy społeczne braki i świadomość kryzysu. Wiem to, bo ja też to robię. Jednak liniowy charakter produkcji i egzystencji, który opiera się na czerpaniu z ograniczonej ilości zasobów, w celu produkcji konsumpcyjnej, nie może trwać wiecznie. Chłopskie praktyki, cyrkularność i suwerenność, „wiejskie innowacje”, to zasoby niematerialne, które dobrze jest odzyskiwać. Bo czas się kończy.

Dominika Bremer

WIEJSKIE INNOWACJE

Niezależnie od huraganów społeczno-politycznych, mącących spokój świata poza lasem w samym jego środku ma miejsce od wielu lat przestrzeń niestarzejącej się innowacji. Zupełnie niepraktyczna, niezarobkowa, gardząca kapitalizmem i konsumpcją wioska wprowadza tą najważniejszą: czucie. I co roku jest to (choć wydaje się z coraz większą siłą) rozlewająca się na wszystkich potrzebujących empatyczna fala. Przestrzeń dla artystów najważniejszych, a wypychanych przez mainstream, dźwięków najczulszych i rozmów najbliższych.

fot. Mateusz Raszewski



Węgałty naturalnie, nie siląc się na udawanie czegokolwiek, podejmują szczerym głosem tematy związane z wymieraniem gatunków, kląsizmem, stagnacją poglądów, wygodą i ignorancją. Pomimo całego ciepła, jakie z nich emanuje, tematy uwierają. Nasze spokojne, napojone i zasypiające w ciepłej pościeli, sumienia słyszą głosy profesorek, literatów, artystów i śpiewaczek o tym, że świat trzeba uratować. A najgorsze jest to, że to my jesteśmy jego wrogiem.

Słucham o Jakóbie Szeli, o panach bawiących się dobrze kosztem tych, którzy dłonie mają zrobione z grud ziemi. Oglądam zabawki, które wyjątkowo mocno pokazują, że chyba wcale nie powinniśmy być w nastroju do zabawy. Słucham dyskusji o tym, że czasem ludzie chcą od innych zbyt wiele, a przecież wystarczy tylko trochę. Wchodzę na polanę. Jest jakby wolniej – od czasu i wymagań. Wszyscy krzątają się, owijają polarami, ktoś roznosi kubki z herbatą. Jest spokój, śmiech, dużo pytań: jak się czujesz? Jak minął twój rok? Kogo z nami już nie ma? Rozmowy są szeptane i donośne, pełne radości i współczucia. Grupki gromadzą się przy drzewach, ognisku i w stodole.

Tak nie ma nigdzie.

Tu świadomość odpowiedzialności za przestrzeń nie dokucza – cała ta atmosfera, przesycona wiedzą i dobrem, motywuje do przyznawania się do błędu, tęsknoty do minimalizmu, żartowania.

To nie tylko miejsce Innej Szkoły Teatralnej – to miejsce Szkoły Innego Życia.

Mniej.

Wolniej.

Swobodniej.

Monika Stępień

fot. Mateusz Raszewski



UPRAWIAJMY SWÓJ OGRÓDEK

Pracuję teraz nad nową opowieścią. Nazywa się „Kandyd, czyli optymizm” i jest to znany tekst Woltera. Bohaterowie – tytułowy Kandyd, jego nauczyciel Pangloss, który nauki swoje wywodzi z rozpoznania, że żyjemy na najlepszym ze światów, ukochana Kandyda i jej stara piastunka oraz wielu innych ludzi – przechodzą oni wszyscy przez najstraszliwsze zdarzenia, utraty, gwałty, niektórzy zostają nawet nadjeżdzeni. Łądują po tych burzach gdzieś pod Konstantynopolem, a hasłem ich życia staje się: „Uprawiajmy swój ogródek”.

Na końcu tego gładkiego zdania jest przecież nie kropka, ale pytajnik.

Co to właściwie znaczy: „Uprawiajmy swój ogródek”?

Nie wiem tego i żadna ekspercka odpowiedź mnie nie satysfakcjonuje. Nad naszymi głowami przetaczają się wielkie starcia polityczne i ekonomiczne, możni tego świata radzą w gabinetach, wojska wyruszają, granice są strzeżone; ludzie starają się nadal być kowalami własnego losu (szkoda, że są skazani na los żeglarzy), najświatlejszym z nas mylą się wiedza i opinie, najwięksi polecielei w kosmos na pięć minut, mniejsi radzą nad szkołą i jej schematami oraz nad tym, jak sadzić pomidory. Sprzeczności praktyki życia codziennego, ale też skala pytań, którym musimy sprostać – są nie do udźwignięcia.

Wioska jest dla mnie częścią tego zmagania. Ładnie byłoby napisać, że odnalazłam w czasie spędzonym w Węgajtach odpowiedzi na nurtujące mnie pytania i wróciłam w wewnętrznej równowadze.

Wróciłam z gigantyczną alergią (nie mogę spać w domu z kotami), we wstrząsie mózgowym wywołanym wypowiedzią Wacka Sobaszka o modelu chińskim i o zaletach towarzysza Xi, który ograniczył wynagrodzenia artystom. Wyszłam z prezentacji o Usnarzu, bo była ona przede wszystkim opowieścią o emocjach świadka (którego zaangażowanie i emocje szanuję), a jednak czarno-białą w moim odczuciu. Oznacza to, że towarzyszył mi w czasie Wioski gniew, z którym być może po prostu przyjechałam i nie należy on do Wioski, tylko do mnie.

Przywiozłam jeszcze obrazy pięknej wystawy Piotra Rogalińskiego i echa burleskowego koncertu Małych Przyjemności, w czasie którego śmiałam się jak zwierzę. I jeśli coś zasila ten ogródek, który mamy uprawiać – z pewnością jest to właśnie śmiech.

I to, co zwykle: przestrzenie, las, chodzenie, trochę tańców i odnowiony obraz republiki przyjaciół. Nie sądzę, by zmieniła ona świat. Nas – tak.

Małgorzata Litwinowicz



fot. Mateusz Raszewski

(AUTO)REFLEKSJE FESTIWALOWE

Festiwalowe przedpołudnia

Przedpołudnia mam wolne, bo spektakle odbywają się dopiero wieczorem. Wzięłam laptop – zamierzałam pracować. Ale praca jakoś nie wychodzi. To takie niewęgajkie. Po dwóch dniach rezygnuję z zawodowych obowiązków i zabieram się za lekturę *Spisków życiowych* Wacława Sobaszka. Od razu lepiej. To mój nowy plan na przedpołudnia.

Zimno, którego nie czuć

Oglądam *Rozziew*. W plenerze. Zimno. Ludzie poubierani w czapki i szaliki. Ja w rękawiczkach. A to przecież wrzesień. Ktoś kiedyś powiedział, że dobry spektakl to taki, podczas którego wszelkie niewygody

przestają mieć znaczenie. Dopiero po przedstawieniu zorientowałam się, że mam ręce jak sople. Wcześniej nie poczułam.

Boso po mieście

Obejrzałam performans Anny Drońskiej z zazdrością. Też bym chciała przejść boso po mieście. Ale nigdy tego nie zrobię. Meandrowanie po opłutym chodniku między rozbitymi butelkami, petami i psimi odchodami wykracza poza moje możliwości.

Sztuka storytellingu

Mówić o rzeczach ważnych. Mówić mądrze. Mówić tak, żeby wszyscy słuchali. *Historia Jakubowa: Opowieść ludowa chłopska i babska* to prawdziwy popis sztuki oratorskiej w wykonaniu Małgorzaty Litwinowicz. Przyjemność słuchania staje się jednak perwersyjna – bo czy może być przyjemne słuchanie o rodzimym niewolnictwie?

Zabawa?

Fragment wystawy Piotra Rogalińskiego *Nie-zabawki. Znaki czasu*. Większa część wystawy była prezentowana na klepisku. Ale jeden eksponat znajdował się w Żółtym Domku, zwanym „dziupłą”. Z sufitu zwisała drewniana łódka. Dopiero po bliskich oględzinach okazuje się, że w środku znajdują się małe drewniane postacie. Skulone, ściśnięte. Piotr Rogaliński wprawia łódź w ruch. Druciane linki, na których wisi, wydają nieprzyjemne jęki. Wacek i Mutka śpiewają. Ta pieśń jest jak modlitwa – za tych wszystkich uchodźców, którzy przeprawy przez morze nie przeżyli.

Bezradność

Okazało się, że Piotr... był w Usnarzu. Jako wolontariusz. Nieplano- wane wcześniej w programie spotkanie jest jednak bardzo potrzebne. Piotr opowiada, co się tam działo. O uchodźcach, którzy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. O okrucieństwie policji. I o własnej bezradności. Podczas spotkania z Piotrem wysadziło korki. Ciemność. Znamienne, biorąc pod uwagę, że od momentu wprowadzenia stanu wyjątkowego prawie nie wiemy, co dzieje się z ludźmi uwięzionymi na granicy. Ale spotkanie z Piotrem trwa. Na przekór tej ciemności.

O kobietach

Dziewczyny z białoruskiego Teatru Kryły Hałopa przywiozły do Węgajt ważny spektakl *Frau mit Automat*. O sobie, o kobietach. A do tego świetny wykonawczo. Jest w nim ogromna siła. Było już wiele feministycznych spektakli, ale po *Frau mit Automat* odżywa mój gniew. Że świat za wolno się zmienia. Że walka kobiet o siebie właściwie nigdy się nie kończy. Po spektaklu stoję przy ognisku. Ogień – ten żywioł tak dobrze pasuje do tego przedstawienia.

Poznanie

Poranek Walpurgii – jest coś ekscytującego w chodzeniu po lesie i odkrywaniu kolejnych elementów performatywnej instalacji, przygotowanej przez kilkanaście kobiet – malarek, pisarek, performerek, naukowczyń. Docieram wreszcie do Drzewa poznania. Okazało się, że zostało na nim ostanie jabłko. Czekają na mnie? Zrywam je i rozwijam przyczepioną do niego kartkę z wierszem. „Przeczytaj na głos” – prosi Marysia, kilkuletnia córka Ewy – autorki Drzewa. Czytam. Otrzymałam wiersz o śmierci bliskiej osoby. Dobrze, że Ewa jest obok. Przytula mnie. Dostałam od niej coś bardzo osobistego. Wraz z wierszem i jabłkiem zabieram ze sobą część jej smutku i cierpienia. To też część poznania.

Joanna Królikowska

BEZPAŃSTWO

Jest taka książka Ursuli K. Le Guin „Słowo las znaczy świat”. Opowieść na dzisiejsze czasy, zachłyśnięte rozwojem, który poszedł w jakąś taką złą, lubię mówić, dziurkę. Dziurkę, nie dziurę – jest coraz ciasniejsza, coraz trudniej z niej wyjść, otwór robi się ot taki malutki, może dzieci jeszcze się w nim zmieszczą, duże osoby, nawet takie jak ja, jakieś 150 cm, już nie bardzo. Staram się.

Świat tam opisany dzieje się w Lesie, osoby tam mieszkające są drobnymi (zmieściłyby się w owej dziurce z łatwością), zielonofutrzastymi istotami ludzkimi, dla których ów Las jest wszystkim, one też są



fot. Magda Bremer

dla siebie wszystkim. Całe dnie spędzają na śnieniu, takim prawdziwym, dającym i odpoczynek i zrozumienie świata, coś na kształt naszych medytacji. Są wewnętrzne, że tak napiszę. Nie zewnętrzne jak cały nasz świat, skupiony na produkowaniu i konsumowaniu rzeczy, coraz bardziej. Każda ingerencja w ich Las, niszczenie Lasu, to niszczenie ich samych. Las daje im schronienie, żywność, odpoczynek, jest ich Światem. Ze swoją drobnością, zielonym futrem z łatwością się z nim zlewają.

Są ciągle na świecie społeczności tak bardzo przypominające owe zielone istoty. Jest ich coraz mniej, bo

i Lasów coraz mniej. Kiedyś, nie wiem kiedy, coś się zmieniło – tak, Las bywał straszny, trzeba było znać ścieżki, by uciec przed wilkiem, niedźwiedziem, pumą, wężem. Potrzebna była jego znajomość, wiedza, rozmowy, opowieści. I po to, by nie dać się zwieść kolorom, by rozpoznać może i mniej kuszące rośliny, ale takie, które można bez obaw zjeść. W Lasach bogatej Europy trudno obecnie bać się zwierząt – wilków w Polsce jest jakieś dwa tysiące, spotkanie z nimi graniczy z cudem. Niedźwiedzi – ledwo ponad setka. Las jest tylko surowcem, ostatnio stał się też miejscem tortur i budowania murów. Istoty ludzkie, które urosły za bardzo, krzywdzą siebie nawzajem. Czasem, niektóre, uciekają przed swoim okrucieństwem w zielone przebrania.

Węgałty nie są w lesie. I sam Teatr w nim nie jest. Cały mój przydługi wstęp to tłumaczenie, że czuję się tam, ja – osoba na wskroś racjonalna, że ścisłym umysłem badaczki nauk przyrodniczych, jak w owym Lesie, który znaczy Świat. Głęboki sen, dobry, potrzebny, niedający odpowiedzi, ale pomagający przeżyć, zrozumieć.

W tym roku Wioska plotła się wokół mojego ukochanego tematu – właśnie wsi, wiejskości, sama mówiłam o kłopotach z wytwarzaniem żywno-

ności. Że tak bardzo oddaliśmy się od Lasu, od Przyrody, że zapomnieliśmy nie tylko o jej mądrości, ale i o naszej, ludzkiej mądrości. Dajemy się zwieść ułudzie łatwości niszczenia, bo ktoś gdzieś tam na tym świetnie zarabia. Zamiast szacunku jest przemoc, cierpienie. Coraz większe maszyny, terkoczące traktory, dające pozory wolności i panowania nad Przyrodą. Uwodzące, bo dające pozory władzy i osobom wykluczonym z patriarchalnego społeczeństwa. Pozory możliwości wejścia do niego, bycia zaakceptowanym, bo innej drogi wydaje się, że nie ma.

Czasem aż wstyd, tak, też tak mam, że musimy powiedzieć – nie potrzebujemy Maszyn. Potrzebujemy delikatności w obchodzeniu się z żywymi istotami, roślinnymi, zwierzęcymi, ale i tymi najmniejszymi, zamieszkującymi glebę – grzybami, bakteriami. I ze sobą nawzajem. Zapomnieć ostatnie, chore, pędzące 200 lat uprzemysłowienia, utowarowienia, wszystkiego i wszystkich, lekceważenia. Skręcić, czy ja wiem, może w arianą ścieżkę, o której pisze Kacper Pobłocki w „Chamstwie”? Sprzeciwiającej się „teologii zniewolenia”?

Przemoc, ów brak troski, czułości do Lasu, do Przyrody, wraca do nas, tworząc piramidalne okrucieństwo. Przed którym trudno uciec. Jakub Szela buntujący się przeciwko przemocy sam jest ucieleśnieniem przemocy. Niemożność wyrwania się z niej, nawet jeżeli ostatecznie skierowanej ku właściwym oprawcom, tym, którzy pozwalają na głód w krainie obfitości dworców, pałaców, kościołów. Śmierć, cierpienie zadawane tym istotom, ludzkim i nie-ludzkim, którym łatwiej to zrobić, bo nie dowierzają, bo ufają, bo pozornie są słabsze. Która niszczy i oprawcę i ofiarę.

Walka, pozornie o słuszną sprawę – o każdą piędź ziemi, by wytwarzać więcej, choć więcej nie oznacza lepszego życia, ale możliwość utrzymania się ledwo przy byle jakim życiu. Nieustający konflikt o to, kto wytworzy więcej żywności, „taniego” mięsa, mleka, jaj ze zwierząt karmionych paszą uprawianą tam, gdzie kiedyś rósł Las. Chleba, ale i mięsa wyrzucanego do kosza, mleka wylewanego do kanałów. Wytworzonego kosztem terenów, skąd wypędzono, zamordowano rośliny, zwierzęta, ostatnie zielone ludzkie istoty. Każda żywa istota zaczyna przeszkadzać, każda zbędna czynność jest stratą czasu. No ale przecież nie można żyć bez śpiewu, tańca, rozmów, miłości. Umieramy.

Kacper Pobłocki w „Chamstwie” pisze o „bezpaństwie” – obszarze,

gdzieś na pograniczu państw, które dopiero powstawały. Gdzie nie sięgała żadna jurysdykcja. Gdzie każda osoba, również ta, czy też szczególnie ta, zniewolona, pańszczyźniana ludność wiejska, mogła choć na chwilę się schronić, czasem na dłużej, tworząc niewielki obszar wolności, precyzyjnie się przez dziurę/dziurkę.

Tak, wiem, cierpię na lekką, czasem zaostrzającą się chłopomanię. Nie zamierzam się z niej specjalnie tłumaczyć, wręcz ją u siebie lubię. No, może ciut tłumaczenia – żywność jest czymś, co nie tylko utrzymuje nas przy życiu, ale powinna być źródłem przyjemności, pojednania, współdzielenia. Jak w Kuchni w Teatrze Węgajty.

Wytwarzanie żywności może przypominać to, co się dzieje w Lesie. Tworząc sieć, obieg materii i energii, którego i my, ludzkie istoty, znów będziemy częścią. Korzystając nie z Maszyn, ale naszej wiedzy o żywych istotach, w tym o nas samych. Bo uprawne rośliny są wydajniejsze niż dzikie, więc można zaoszczędzić więcej terenów na Las. Hodowlane, udomowione zwierzęta podobnie, jakkolwiek by to nie brzmiało. Uzupełniają się, uzupełniamy się, również współdziałając. Jak to robić, jak wiedzą rolnicy i rolniczki, jeszcze ciągle. Nawet jeżeli większość z tego, co wytworzą jest im zabierane nie po to, by nakarmić inne osoby, ale by mieć władzę nad Lasem, nad nami.

Może czas skończyć z władzą i zacząć się dzielić posiłkiem, przyjemnością, rozmową, a nie przemocą? Pogonić ostatecznie władców? Wacek: „Przyszedeł już czas, Najwyższy czas, kapitalizm zniszczy w sobie”.

Bezpaństwo. Teatr Węgajty jest dla mnie taką Chwilą, Miejscem, gdzie nie ma granic. Kiedy myślę o Wiosce, tak dosłownie widzę czarną planetę z jasnym punktem. I, tak, jak w tym roku powiedziałam jednej z osób, równie zachwyconej, jak ja tym jasnym Punktem, że myślę, mam nadzieję, że chciałabym, żeby tych Punktów było dużo, coraz więcej. Wioska Teatralna w Węgajtach jest Istotą żywo reagującą na koszmary, cuda tego świata, pozwalającą je prześnić, ale ich nie zapomnieć. Jest Miejscem, Czasem dla mnie raz do roku, które wiem, że ciągle gdzieś tam ze mną i beze mnie wiruje. Jak powiedziała Aksana Haiko w rozmowie po premierze *Frau mit Automat* (cytuję z pamięci): „teatr społeczny się dzieje, nieważny jest wynik, nieważne jest czy spektakl powstanie, ważne jest samo działanie”.

I jeszcze na koniec, rozmowa z Wackiem przy obiedzie, rozmowa o tym, co się zmieniło, stało przez ten rok, kiedy byłam w Teatrze po raz pierwszy. Wacek: „zmieniłem się, bardzo, a Ty, Paulina jak się czujesz?” „Czuje smutek, taki już stały, gdzieś tam ciągle jest”. Wacek: „No ale smutek też jest dobry, to dobre uczucie”. „Tak, Wacku, dobre, potrzebne”. Dodam, szczególnie teraz.

Paulina Kramarz

ZAWIROWAŁ ŚWIAT

Wirując, tracę wyrazistość. Nikną kontury, kontrasty, znika to, co konkretne i namacalne. Przed oczami pęd, barwy jakby zatarte. Niespodziewanie wzrok – najintensywniejszy ze zmysłów, ustępuje miejsca dźwiękom. Władzę przejmuje słuch. Czułość na każdy szelest, powiew wiatru, najcichszy nawet oddech z każdym obrotem wzmaga się. Nie widzę, ale słyszę wyraźnie. Wir wciąga jednak głęboko, długo nie puszcza, nie pozwala zwolnić. Choć świadoma, jestem obojętna. Zatracam się, pozostając ślepa na to, co dookoła.

Pytam siebie – czy świat zawirował? Chyba nie. Bo ja słyszę, a świat nie tylko nie widzi, ale i nie słyszy. A może jednak słyszy, ale tak jak ja pozostaje obojętny... Nie może się zatrzymać?

Wir, o którym myślę, nie nosi już znamion modlitwy, czy medytacji. Zda się utożsamiać to, z czym tak trudno nam się pogodzić, zarówno mi, jak i uczestnikom *Teatru Improwizacji*. Przekroczyliśmy granicę zła. Byli głodni, nie daliśmy im jeść. Była głodna, nie dałeś jej jeść. Było głodne, nie dali mu jeść...

W wirze Wacława Sobaszka, Niuty Gutkowskiej, Jana Mrazka i Klauдії Kuranya dostrzegam jednak modlitwę. Modlitwę o dobro w czasach, gdy ludzie na dobro są tak obojętni. Modlitwę o ocalenie, w czasach gdy człowiek człowiekowi wilkiem. W wieczornym improwizowanym tańcu odnalazłam troskę i czułość. Zaraz za nimi podązał gniew i rozpacz, powodowana dojmującą bezsilnością. Opowieść Piotra Środy stała się tłem, a także pretekstem do wykrzyczenia, wyśpiewania, wywirowania, a w końcu wypłakania tego, co tak bolesne. Razem z cichą łzą, przeszedł mnie dreszcz. Czułam, że Artyści przyszli po to „abyśmy czarnej

nocy nie czynili w biały dzień”¹. Byliśmy tam jednak tylko my... Najedzeni, napojeni, przyjęci, przyodziani, w zdrowiu i wolności. Spokojny, nieprzejmujący kontroli wir Wacka, delikatne dźwięki Niuty, ostrożna czujność Klaudii i głęboka, przejmująca melodia kontrabas Honzy nie pozwoliły nam o tym zapomnieć. W zestawieniu ze słowami *Ewangelii wg św. Mateusza* nie przyniosły jednak ukojenia. Zbliżyły tylko do muru, który tak zaciekle stawiamy. Dopiero w szaleńczej pogoni Wacka, jego odbijaniu się od ściany do ściany, od muru do muru, od kraty do kraty, w wykrzyczanym KURWA, gniewie i złości dostrzegłam zastany świat. Głuchy na to, czego doświadcza. Zobaczyłam czarną noc w biały dzień... Czy da się to jeszcze odwirować?

Wtedy odezwie się i do tych po lewej stronie: "Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom!

*Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść;
byłem spragniony, a nie daliście Mi pić;
byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie;
byłem nagi, a nie przyodzialiście Mnie;
byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie."*

Wówczas zapytają i ci: "Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym albo spragnionym, albo przybyszem, albo nagim, kiedy chorym albo w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie?" Wtedy odpowie im: "Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili". I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego»².

Agata Ziółkowska

¹ Papiusza, *Przychodzę do was* [w:] Papiusza, Lesie, ojciec mój, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2015

² *Ewangelia wg św. Mateusza*, Sąd ostateczny [w:] *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*



fot. Sebastian Świąder

GRANICA TEATRU

Za nami Wioska. Radość spotkania. Rozmowy. Bogactwo dzielenia się. Wysiłek tworzenia relacji będących w zgodzie z naszymi wartościami. Po długiej przerwie znowu dane nam było znaleźć się w przestrzeni teatru, chłonąć siłę płynącą ze spełnienia się spektakli na żywo, w punkcie styku między aktorem a widzem. To energia, której nic nie zastąpi. Być widzem, to znaczy być współtwórcą spektaklu, nadawać spektaklowi sens.

To było w dniu, kiedy Wioska zaczęła łączyć się z programem Sztuki w Obejściu. Wracaliśmy z koncertu na nocny *Teatr improwizacji*. Długo czekaliśmy pod wejściem do sali. Ludzie snuli się w ciemnościach, rozmawiali przy ognisku. Niektórzy zrezygnowali. W końcu – wchodzimy. Najpierw część teatralna: to, co zobaczyliśmy, wyglądało jak pokaz warsztatowy. Teksty, zaśpiewy, ruchy ujęte w prostą dramaturgię z użyciem kontrabasu i kilku rekwizytów, których znaczenie, jak przypuszczam, wynikało z procesu pracy. Ale nie o sprawności teatralne tu chodziło. „Byłem głodny i nie nakarmiliście mnie. Byłam głodna i nie nakarmiliście mnie. Byliśmy głodni i nie nakarmiliście nas”. Chodziło o to, by te słowa wypowiedzieć na głos. Zrozumieliśmy. Chodziło o to, żeby nie milczeć.

Działania aktorów były wstępem do opowieści Piotra Środy, do jego relacji z Usnarza z dnia przed wprowadzeniem stanu wyjątkowego. Znalazł się tam, wśród wolontariuszy organizacji pomocowych i dziennikarzy oddzielonych kordonem strażników od grupy głodnych, zmarzniętych i chorych ludzi. Patrząc na wyświetlone przez Piotra zdjęcia pokazujące kordon, rozległą łakę i znajdujących się na jej skraju postaci ludzkich wszyscy siedzący na widowni naszego teatru staliśmy się ... widzami widowiska. Bo taka była struktura tamtej przestrzeni w Usnarzu. Ludzie, którzy przybyli tu, by działać, udzielić pomocy, zostali siłą zmuszeni do tego, by biernie przypatrywać się temu, co rozgrywało się przed nimi na swoistej scenie. Przypatrywać się ludzkiemu cierpieniu. I my, słuchacze opowieści Piotra, z nimi. Smutni, wściekli, bezradni. Tak już zostało. Codziennie jesteśmy widzami coraz bardziej makabrycznego reality show. Na naszych oczach kobiety, mężczyźni, dzieci

wypędzane są na powrót do lasu, na białoruską stronę, gdzie czekają na nich karabiny białoruskiej straży granicznej. Codziennie słyszymy wołanie o pomoc, wołanie o jedzenie, ciepłe okrycie, o ratowanie życia umierających ludzi. Słyszymy o tych, dla których ratunek przyszedł za późno.

Podejmujemy desperackie próby oporu. W Olsztynie zorganizowaliśmy wspólny apel środowisk kultury. Nie jesteśmy sami, ale nasze gesty wydają się ginać w morzu niechęci. Toż Polska jest przedmurzem Europy i działa (przekraczając reguły, ale co tam!) na zlecenie Unii. Rezygnować? Obrócić pozycję obserwatorów? Rzucić wszystko i jechać na granicę?

rys. Julia Drapejkowska



Sytuacja, w której znaleźliśmy się jako społeczeństwo, jest nieporównywalna z niczym, z czym spotkaliśmy się kiedykolwiek w naszym życiu. Obok nas, na widowni tego strasznego widowiska siedzą nasi sąsiedzi, koledzy, nieznajomi, ludzie z innych „baniek”. Niezależnie od tego, czy usiłują odwrócić wzrok, używając różnego rodzaju argumentów, czy też nie wiedząc jak zareagować, trwają w przerażeniu – trauma i zbiorowe poczucie winy dotyczy wszystkich. Zniszczy nas od wewnątrz. Ktoś mi zadał pytanie: czy w obliczu zbrodni, na którą pa-

trzymy można jeszcze uprawiać teatr?! Wygląda na to, że na ludziach, którzy nie ukrywają swojego sumienia pod ochronną skorupą przekonania o bezsilności, spoczywa szczególna odpowiedzialność. Zawsze jest jakiś wybór. Możemy opuścić widownię. Możemy włączyć się do akcji pomocowych – na miejscu i gdziekolwiek, gdzie jesteśmy. Zbrodnia żywi się przemilczaniem i dezinformacją. Nasz głos jest niezbędny wszystkim ludziom, którzy czują się bezradni i zagubieni. W Usnarzu Straż Graniczna zagłuszała komunikację między wolontariuszami i migrantami, włączając silnik ciężarówki wojskowej. Taka „ciężarówka” próbuje zagłuszyć komunikację między ludźmi także poza terenem granicy, wszędzie wokół nas. Dzielenie ludzi jest częścią szerszej strategii. Uprawiamy teatr, uprawiamy sztukę. Tworzymy w ten sposób beczenną tkankę łączną, również w stosunku do ludzi z innych „baniek”. Ale nie zadowolajmy się tym. Co się na naszych oczach rozgrywa, wymaga od nas wyjścia poza własne granice. Niezależnie od obranej drogi, musimy zacząć od tego, by przestać milczeć. Musimy przeobrazić się z widzów w świadków.

Erdmute Sobaszek



fot. Piotr Środa

OBRAZY LUDZI, KTÓRZY NAM ZAGRAŻAJĄ

Podobno przy granicy są straszni ludzie, którzy nam zagrażają.
Pokazują nam ich obrazy, żebyśmy wiedzieli, przed czym się bronimy.

To prawda, ci ludzie są straszni. Rozmawiałam z naocznym świadkiem, który po powrocie stamtąd wszystko nam opowiedział. Byliśmy wstrząśnięci.

Pokażę wam teraz kilka obrazów, które widział.

Zdjęcie pierwsze

Mężczyzna odchodzi od grupy na bok, siada w błocie, żeby w spokoju poczytać małą książeczkę. To albo Koran, albo poezja, bo głównie takie książki mają ze sobą. Staje nad nim czterech mężczyzn w mundurach, ciasno, zaczynają bawić się nad jego głową karabinami. Tamten pęka, chowa książeczkę, wraca do grupy.

Zdjęcie drugie

Ludzie siedzący w grupie piją brudną wodę z pobliskiego potoku. Mężczyźni w mundurach piją czystą wodę z butelek, przy nich, tak, żeby widzieli. Niewypite resztki wylewają na ziemię.

Zdjęcie trzecie - z dźwiękiem

- Odjeżdżamy, nie będzie kamer, już nikt was nie zobaczy. Zostawiamy wam to wszystko, spiwory, ubrania, jedzenie, picie. Nikt was już nie widzi, możecie z tym zrobić, co chcecie.

- Zostawcie. Wystawimy właścicielowi pola mandat za zaśmiecanie. Jest zamaskowany, bez twarzy, w mundurze bez żadnej identyfikacji, bez dystynkcji, bez imienia.

Widać jego oczy. Śmieją się.

Boże, chroń nas przed nadciągającym zagrożeniem.

Justyna Artym



(tekst i makatka zainspirowane węgajką opowieścią Piotra Środy i pewną konferencją prasową)

UWAGI O „KOBIECIE Z AUTOMATEM” I OGNISKU W LESIE

Synoptycy prognozują, że 24 września w Olsztynie popołudnie będzie jeszcze letnie. Odczuwalna temperatura 15 stopni. Wiatr zawieje z zachodu z prędkością 22 km na godzinę.

Helsińska Fundacja Praw Człowieka alarmuje, że po polach i po lasach przy granicy z Białorusią błądzą ludzie półżywi z zimna.

Spod domu, w którym mieszkam, do Węgajt jest pół godziny jazdy samochodem.

Wyjeżdżamy z Olsztyna dobrze po szesnastej. Jedziemy wysłuchać Edwina Bendyka. Sposób, w jaki Edwin tłumaczy Świat napawa mnie otuchą, że jeszcze nie wszystko jest stracone.

Po drodze słonecznie. W Gutkowie nowe apartamentowce-szeregowce. Gdy w Węgajtach skręcamy w pełną drogę, widzę pierwsze w okoli-

cach Olsztyna krowy. Bury pokazuje dom Thorstena, znanego na Warmii serowara. Zjazd w ocienioną drzewami koleinę. Z prawej strony, jakby przedpotopowe bagnisko, w którym tylko co, ukryły się przed naszym wzrokiem dinozaury. Na końcu drogi zaskoczenie, ogrodzone terytorium w sąsiedztwie Teatru.

Rytualne szukanie miejsca na parkingu.

Wokół ogniska grzeją się widzowie. Na widok Edwina Bendyka wołam: Jednak świat istnieje!

Jest trochę czasu do spotkania. Oglądamy wystawę Piotra Rogalińskiego *Nie-zabawki. Znaki czasu*.

Prace Rogalińskiego przypominają klocki z drewna, którymi bawiliśmy się w dzieciństwie. Ale na wystawie są też liczydła, których w ubiegłym wieku używali sprzedawcy w sklepach. „Pamiętasz? Liczyłeś na takich?”. Chyba w szkole. W tornistrze nosiłem ich zminiaturyzowaną wersję...

Bury wskazuje na konstrukcję z ustawionych na sztorc drewnianych liczydeł. Przypominają makietę współczesnego osiedla z wieżowcami.

Bury fotografuje wystawiony w stodole słynny obraz Tadzia Piotrowskiego przedstawiający grubasów o złych twarzach, namalowany jeszcze w czasach olsztyńskiej Pracowni.

Zakładamy w sali teatralnej maseczki.

Wacek czyta fragmenty najnowszych „Spisków”.

Edwin mówi o „Algorytmie nadziei”.

Kto daje nadzieję? Kobiety. W 2014 roku Polki były na trzecim miejscu w Europie, jeśli chodzi o ilość kobiet na stanowiskach kierowniczych.

W domu czytam wywiad z Agnieszką Holland. Jako pierwsza kobieta w historii odbierze na festiwalu w Gdyni Platynowe Lwy za całokształt twórczości. W 1981 za „Gorączkę” po raz pierwszy dostała Złote Lwy za najlepszy film. Witold Mrozek, który rozmawia z reżyserką, przypomina, że Maria Janion po premierze „Gorączki” napisała w miesięczniku „Kino” tekst pod tytułem „Filozofia bomby”. W tym roku po raz pierwszy w swojej historii łódzka filmówka przyjęła na reżyserię wyłącznie kobiety.

Następnego dnia jedziemy z Burym do Węgajt na białoruski teatr „Kryły Hałopa” z Brześcia. Będzie światowa premiera spektaklu „Frau mit Automaten” („Kobieta z automatem”) w reżyserii Aksany Haiko. Z Interne-

tu wiem, że zaczynam spektaklu jest w dużym stopniu autobiograficzny tekst napisany przez reżyserkę. Drugim autorem scenariusza jest Lekha Chykanas.

Teatr „Kryły Hałopa” z Brześcia od lat przyjeżdża do Węgajt. Tym razem ich sytuacja zmieniła się radykalnie, nie mogą grać w swoim kraju. Prace rozpoczęte w Brześciu, zespół kontynuował w Czechach, potem w Niemczech, na koniec w Polsce. Czyli obejrzymy spektakl teatru na wychodźstwie.

Tłum przed wejściem. Atmosfera ekscytacji wydarzeniem, jakbym przeniósł się w czasie do roku 1971, gdy wśród moich rówieśników czekałem w Olsztynie na spektakl „Spadanie” teatru STU w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego.

Aktorki Sviatlana Haidalionak i Aksana Haiko opowiadają o różnych tożsamościach współczesnych kobiet wciskanych w schemat, poddawanych presji, ale wspomagających się wzajemnie. W końcu kobiecość zatryumfuje, przybierze postać Furii, tytułowej kobiety z automatem z brzeskiej twierdzy.

Siłą białoruskiego spektaklu jest impet aktorek, muzyka grana na żywo przez kompozytorkę Olgę Podgajską oraz kostiumy Svety Husakovej.

W „Spadaniu” przed laty padły ze sceny słowa „może by wreszcie zacząć myśleć?”. W ostatniej sekwencji białoruskiego spektaklu wyświetlane jest na ekranie słowo „Wolność”.

„Frau mit Automat” ma formę otwartą. Ciekawe jak życie będzie dopisywało do niego nowe sceny.

Po co jeżdżę do Węgajt? Po pokrzepienie, by doładować akumulatory. Jadę spotkać się z Mutką i Wackiem, których pracę podziwiam. Publiczność węgajckiego teatru, aura tam panująca, przypomina mi młodość.

Przed odjazdem do domu oglądam się za siebie, by sfotografować płonące ognisko. Siedzi przy nim kilka osób. Kadr jak z obrazu, który namalował Wilhelm Sasnal na podstawie „Obozu Cyganów” Maksymiliana Gierymskiego. Widziałem miesiąc temu na wystawie „Taki pejzaż” w muzeum POLIN w Warszawie.

Marek Barański

KOBIETY Z BRONIĄ

„Po powrocie z Węgajt nie chce się już tworzyć innej sztuki niż zaangażowana”, powiedziała mi Magda Hasiuk podczas jednej z wioskowych rozmów.

To prawda. Przebywanie w Węgajtach uwrażliwia, otwiera serce i oczy na sprawy większe od nas samych. Wokół Wacka i Mute skupiają się twórcy-aktywiści, osoby, które używają swojego głosu jako narzędzia przemieniającego rzeczywistość.

„Nie można mówić tylko o sobie, o swoich sprawach osobistych, kiedy ziemia płonie” – mówi jedna z nich, reżyserka i aktorka Aksana Haiko z białoruskiego teatru Kryły Hałopa, który pokazał w Węgajtach premierę rewelacyjnego spektaklu *Frau mit Automat*. Kiedy parę lat temu zaczynała pracę nad tą sztuką, miał to być monodram o różnych rolach kobiecych oparty na jej własnych doświadczeniach, coś w rodzaju autoterapii. Aż wybuchła rewolucja... I do kalejdoskopu postaci doszła jeszcze jedna: bojowniczka o wolność. Legendarna Frau mit Automat



fot. Aksana Haiko

z czasów wojny ukrywa się w ruinach, wychodzi spod ziemi i strzela ogniem. Zapytacie, jak to się ma do protestów w Białorusi, które kojarzą nam się raczej ze spokojnymi kobietami w bieli i czerwieni, z kwiatami w dłoniach? (Aksana zwróciła nawet uwagę, że przez tę formę demonstracje nie zyskały poparcia zachodnich środowisk feministycznych). Przecież obywatelki i obywatele, zamiast strzelać, przytulali się do żołnierzy i robili sztukę. Cóż, dla mnie to właśnie jest ten ogień. Kobięce jakości, które jak rozczochrana tytułowa bohaterka wreszcie wyszły spod ziemi, kreatywność, która wybuchła w całym narodzie, nawet w ludziach, którzy nigdy wcześniej nie zajmowali się sztuką. Odwaga zabierania głosu. Jedność ponad wszelkimi podziałami. Rozczuliła mnie i zachwyciła historia opowiedziana przez kompozytorkę muzyki do spektaklu – Olgę Podgajską. W ramach protestów muzycy zbierali się w filharmonii, by grać i śpiewać wywrotowe pieśni. Można było zobaczyć siedzących obok siebie: muzyczkę, jej męża oraz kochankę męża, w zapale śpiewających jednym głosem. Sprawy osobiste przestały mieć znaczenie w obliczu czegoś większego.

Trzeba jednak przyznać, że spektakl nawet bez poszerzenia o kontekst rewolucji byłby petardą. Aksana Haiko i Sviatlana Hajdalionak bezlitośnie rozkrajają typowe kobiece role, aż do zgniętego środka ukrytego pod nawoskowaną skórą. Pełna naiwnej nadziei Panna Młoda, w ekstazie spełnienia, jest bramą do Matrony-Żony, pochłoniętej upartą harówką. Porzuca świątynię teatru dla świątyni domowej, ale i tak ma ciągle brudno, a rodzina w końcu wyslizguje się jej z rąk i rozpada. Oczywiście, to jej wina. Zła wiadomość: mimo całej pilności i dobrej woli, konstrukt Żony dźwigającej na sobie dobrostan całego domu jest niemożliwy do utrzymania. Ten model powtórzy się w prezentacji kolejnych ról. Każda z nich to sekwencja absurdałnych nakazów społecznych i nierealnych wymagań wobec kobiet, często uwewnętrznionych. Ogromny ciężar odpowiedzialności, której nie można udźwignąć, przeradza się w niemożliwą do uniknięcia winę. Za to, że związki się nie udają, a mężczyzna czuje się za mało męski, odpowiedzialna jest Kochanka, nie dość powabna, nie dość kusząca, nie dość sama siebie umniejszająca. Za wszelkie problemy z dzieckiem odpowiedzialna jest Matka, która nie sprostала świętemu toposowi. Ofiara gwałtu jest sama

sobie winna – mogła nie chodzić po parku, nie wsiadać do windy, nie być ładna.

Ale cały czas czujemy, że te historie są opowiadane po to, żeby je przekroczyć. Pod tymi wszystkimi przestarzałymi, narzuconymi rolami cały czas słyszymy kontestującą je stałą, żywą i prawdziwą tożsamość: twórczynię teatralną. Do odrzucenia zewnętrznych gorsetów potrzebna jest ta właśnie wewnętrzna siła, potrzebna jest złość. I wtedy wchodzi Furia. Frau mit Automat. Ta, która została zepchnięta do podziemi, ponieważ na powierzchni oczekiwano kobiet ładnych, uczesanych, uległych, ochoczo dźwigających odpowiedzialność i winę. Natomiast pod spodem zawsze była ona. Brudna, kudłata. Uzbrojona. Niemożliwa do uchwycenia, niemożliwa do spacyfikowania. Trafiająca bez pudła. Strzelająca ogniem. I w tej finalnej roli zobaczyłam integrację mówiącego do nas kobiecego głosu, jego prawdziwą realizację. Ponieważ tym właśnie jest twórczyni: dziką kobietą wyłazłą z podziemnego świata z bronią swoich słów. Kryły Hałopa, które nam o tym opowiedziały, równocześnie stały się tym głosem, celując w krwawego tyrana, w patriarchat, który trzyma w podległości nie tylko kobiety, ale całe społeczeństwo.

Spektakl nie kończy się jednak zemstą. Kończy się nadzieją. Jeszcze jednym odcieniem kobiecości, który współcześnie nazywamy siostrzeństwem. Wzruszające relacje dziewczynek z Oświęcimia z książki Joan Ringelheim *Kobiety i Holokaust* przeplatają się z opowieściami współczesnych więźniarek białoruskiego reżimu. Młode kobiety, które w najgorszych warunkach, zamiast walczyć między sobą o kawałek chleba i przestrzeni, dzielą się nimi – to one mówią do nas w finale o pragnieniu lepszej przyszłości i one ją zbudują.

Właściwie już budują. Wszyscy widzimy – jedni z przerażeniem, inni z ulgą – że upadają stare schematy, kształtują się nowe modele współpracy, komunikacji, partnerstwa. Duża w tym zasługa kobiet, które odzyskują sprawczość i głos. Ostatnio przeczytałam, że wśród osób udzielających pomocy ludziom na granicy jest bardzo mało mężczyzn. Zaskakujące – wydawałoby się, że przedzieranie się nocą po ciemku

przez las z ciężkim plecakiem, ukrywanie się przed służbami, bohater-
skie ratowanie kogoś – to męski archetyp. A może to jednak ta kobieca
Furia, która nie zgadza się na przemoc i przeciwstawia się jej swoim
własnym ogniem?

Kobieto – wyjdź z podziemi. Znajdź swój ogień. Strzelaj.

Justyna Artym

LIST DO SAMEJ SIEBIE

Ciągle powtarzam – wszystko będzie dobrze, przeżyjesz. Ale nikt nie
docenia trudu, który trzeba sobie zadać, żeby pozbawić się życia.

Kiedy się zatrzymujesz, świat ciągle pędzi do przodu, a Ty zostajesz
w tyle. Potem nie ma już dla ciebie miejsca.

Musisz biec, żeby nie wypaść z obiegu. Musisz.

więcej pieniędzy więcej umieć więcej zrobić więcej mieć ciągle za
mało pieniędzy ciągle tyle do zrobienia za mało wiesz za mało umiesz
więcej pieniędzy więcej umieć więcej zrobić więcej mieć ciągle za
mało pieniędzy ciągle tyle do zrobienia za mało wiesz za mało umiesz
robić więcej mieć ciągle za mało pieniędzy ciągle tyle do zrobienia za
mało wiesz za mało umiesz więcej pieniędzy więcej mieć

I może masz gnać, żeby nie myśleć i żeby nie wiedzieć i nie widzieć.

Człowiek niszczeje, choruje, szuka pomocy i nadziei.

Moja droga przyjaciółko,
łapię się na tym, że
biegniesz, spieszysz się,
pędzisz za czymś,
nie wiem, za czym i co jest
naprawdę ważne?

Myślała, a może, czy istnieje
jakiś równoległy świat, jakiś
inny, inni. Czy gdzieś jest
lepiej, żeby czuć się dobrze
i czuć się szczęśliwym?

Węgajcki matrix

Wiedziałam, że Wioska się rozpoczęła, ale uznałam, że to nie czas. Nie wiem, jak to się stało, ale w środę wieczorem stałam na węgajckim parkiecie. Tyle polek i oberków. Śmiechów, ludzi, wzruszeń. Miłość płynąca, tańczącą między nami i to ciepło. Oderwałam się gdzieś, przeniosłam... Jak teraz o tym myślę, to jakby przechodząc ostatni zakręt parkingu i mijając zarośla...

To wszystko było tak intensywne i wydawało się wieczne. Gdy z powrotem wsiadłam do auta, płakałam. Byłam szczęśliwa i uświadomiłam sobie, że już bardzo długo nie byłam tak szczęśliwa, jak podczas tego oberka.



fot. Agata Ziółkowska

Kochana pamiętaj,
żeby wierzyć w miłość i dobro. Że kiedy biegniesz, omija cię piękno
promieni słońca, spadający liść i ludzie. Tak naprawdę omija cię to ży-
cie, dla którego warto.

Dziękuję za otwartość, chwile przełomowe, odwagę. Dziękuję Węgałty
za nadzieję.

Róbmy Węgałty na co dzień.

Weronika

WĘGAJCKIE CZŁOWIECZEŃSTWO

Szczerze?

Co roku myślę o tym, żeby napisać tekst o tym, czym dla mnie są Wę-
gałty, ale za każdym razem brakowało mi odwagi.

I w końcu rok temu, właśnie na Wiosce – tej innej od wszystkich, bo tej
już pandemicznej – w mniejszym gronie, poznałam kogoś, kto przyczy-
nił się do rozpalenia, tego już od lat tłącego się ognia do fotografowa-
nia, do pisania, do opowiadania.

I chce opowiedzieć o tym wszystkim, co czuję patrząc na te portrety,
o tym wszystkim, co czuję myśląc o miejscu, w którym zostały zro-
bione.

fot. Magda Bremer



To, co mnie zachwyciło od początku w Węgajtach (Węgajty jako ogólny opis cudu dziejącego się co roku w moim życiu) to ludzie. To, jacy się tam pojawiają, to, w jaki sposób ze sobą rozmawiają, jak ze sobą pracują, jak razem tworzą coś niesamowicie wyjątkowego.

Bo nie ma takiego drugiego miejsca na Ziemi, uwierzcie mi. To miejsce wolne od całego zawirowania rzeczywistości, to miejsce wolne od zmartwień, od niepewności, żalu i wstydu. To miejsce, w którym możesz sobie być, tak po prostu. To mnie od zawsze tam przyciągało – ta pewność, że nie będę oceniana, nie będę widziana przez żaden fałszywy pryzmat świata. Fakt tego, że mogę być tam sobą, nie wiedząc do końca kim jestem, pozwolił mi na odnalezienie siebie.

fot. Magda Bremer



Życie chyba dzieli się na czas poszukiwań, układania puzzli, aż do momentu znalezienia takiej ich ilości, że mniej więcej potrafisz już określić co na nich jest, więc łatwiej Ci dokładać kolejne, bo już nie robisz tego na ślepo. Dzięki Węgajtom te puzzle dokładałam coraz śmielej, coraz radośniej, coraz łatwiej.

Te portrety symbolizują tę ludzką wyjątkowość, tę wspólnotę, tę sieć powiązań między cudownymi duszami rozsianymi po świecie.

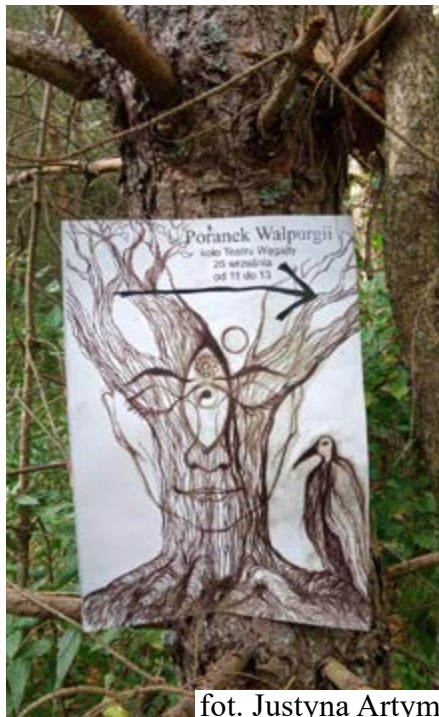
Każda wyjątkowa istota w moim życiu – przyjdzie moment, że zabiorę Cię do Węgajt, bo w tym miejscu za każdym razem zadziewa się we mnie to, za co wdzięczna jestem aż do kolejnej Wioski.

Magda Bremer

O PORANKU WALPURGII

Wiosna tego roku była długa i kapryśna, aż Mutka rozpuściła wici o *Nocy Walpurgii*. Wieczorem, 30 kwietnia, Krzysztof rozpałił w szalasi za stodołą ogromne ognisko. Parę dni wcześniej nagrałam pieśń *Żurawi krzyk*. Połączyliśmy ścieżkę dźwiękową z obrazem i w ostatni dzień kwietnia „wrzuciłam” całość na stronę. Ponad 200 kobiet zaprezentowało prace z różnych dziedzin, od malarstwa, poezji, po taniec, formy ceramiczne, film animowany i wiele innych. Na facebooku pojawiały się coraz to nowe posty. Przez czas lockdownu nagromadziło się mnóstwo emocji, wrażeń, którymi chciałyśmy się podzielić. Miałam to szczęście, że noc spędziłam nie tylko przy komputerze, gdzie do późna trwała wymiana opinii i odczuć, ale oczy odpoczywały przy ogniu, płonącym pod gołym niebem. Czarownice, czy wiedźmy, które wiedzą więcej i widzą inaczej, a może prawdziwiej, zadecydowały, że pragną się spotkać. Tak powstał pomysł na *Poranek Walpurgii*.

We wrześniu, w ramach festiwalu Wioska Teatralna i akcji Sztuka w Obejściu, mogłyśmy połączyć się we wspólnym działaniu. Przyjechałam dwa dni przed wydarzeniem i w sobotę powędrowałam ścieżką wśród brzoź, na wzgórze, grając na gitarze i śpiewając swoje pieśni. Chciałam zmierzyć się z tą przestrzenią wcześniej. Okazało się, że to duże wyzwanie, chodzić, śpiewać i grać równolegle, w miejscu niescenicznym, po nierównościach terenu. Mimo to powędrowałam ze śpiewem i wyobraźnia zaczęła pracować. Miałam jednak podczas akcji, zorientować się, że dopiero w interakcji, mogą powstać najciekawsze działania.



fot. Justyna Artym

Niedziela obudziła mnie słońcem. Rozwiesiłam plakaty, a koło dziewiątej zebraliśmy się, żeby pod okiem Kasi Łyszkowskiej zakopać nasze „sekrety”. Mute miała wielką, okrągłą szybę, pokrytą lekko zielonym nalotem. Wykopałyśmy pod drzewem, u podnóża wzgórza, dół i ostrożnie ułożyłyśmy w nim nasze prace. Jak małe dziewczynki, oddałyśmy Ziemi to, co miało do niej powrócić. Niektóre z nas, wołały swoje tajemnice rozwiesić na drzewie i powierzyć powietrzu. Wreszcie, przed jedenastą, ubrałam się w sukienkę, którą w zeszłym roku zaprojektowałam i uszyłam, nastroiłam gitarę i ruszyłam z piosenką *Mój poranek* wg tekstu Edvarda Kocbeka:

*(...) To mój poranek: nie mogę wstać, nie mogę się
oderwać, muszę trwać
i czekać, owoc wśród owoców. Nikt już nie może mi
niczego przynieść ani dodać.
Spokojem ogarnięty, wypełniony
wiem, jestem darem dla samego siebie, zamykam oczy,
o szlachetności istnienia.*

Na wzgórzu była Dagna Ślepowrońska ze swoimi obrazami na deskach i poezją, wydrukowaną na kawałkach materiału, rozwieszoną na sznurku pomiędzy drzewami.

Przypominało to chorągiewki tybetańskie. Wędrowałam dalej. Odnalazłam tam umieszczone w butelkach, zawieszone na gałęziach teksty Magdy Hasiuk. Nieopodal, Justyna Artym prezentowała artefakty i teksty poświęcone Białorusi i Janie Szostak, z jej krzykiem o wolność. Magda Hasiuk zajmowała się także miejscem Joanny Pawelczyk, która nie mogła być z nami. Wreszcie zawróciłam ze wzgórza, ku polanie, a na skraju Niuta Gutkowska i Maja Gromadowska – dwie czarownice, gotowały w wielkim kotle ziołowy napar. Obok można było zobaczyć ich pracę wideo. Na filmie obie malują się przy lustrze, a w tle lecą teksty o prześladowaniu czarownic. Ugasiłam pragnienie i weszłam, śpiewając, znowu na wzgórze. Doszłam do *Kręgu kobiet* Martyny Dębowskiej. Potem, na polance, swoje obrazy i kolaż prezentowała Julia Drapejkowska. Niżej usłyszałam skrzypce Marii Legeżyńskiej. Siedziała i grała, a na ekranie komputera, można było zobaczyć jej animację.



Poniżej polany, Ola Bradel deklamowała swój wiersz *Przerwa na reklamę*. Poprosiła mnie o pieśń, więc zaśpiewałam jej *Duszę się miewa*, wg tekstu Wisławy Szymborskiej.

Pomiędzy znalazły się szydełkowe rusalki Oli Mandali Nomad i ceramika Danuty Sterny. Wreszcie dotarłam do *Drzewa poznania*, czyli instalacji Ewy Chyry-Szwarc. Zerwałam ogromne jabłko, do którego przymocowany był na ruloniku wiersz. Zbliżała się trzynasta i poranek powoli przechodził w popołudnie. Słońce wędrowało wśród brzóz i sosen. Łagodne, delikatne, ciepłe promienie niosły światło. Zagrałam jeszcze dla Mutki, która odtąńczyła dźwięki gitary i lasu. To był właściwie nasz wspólny taniec, czarownicy, niosący nas obie w inną przestrzeń. Warto też wspomnieć o Weronice Pardeli, która pokierowała dobrze ludzi i zachęciła do zagłębienia się w naszą akcję. Niestety nie dojechały do nas Barbara Wilińska i Indi Orlando. Prace Basi doszły następnego dnia pocztą i udało się je udokumentować w lesie. Cieszę się, że mogłam uczestniczyć w tym wydarzeniu i wierzę, że znowu spotkamy się, realizując nowe pomysły, z kobiecą energią i mocą.

Daria Kozłowska

PODPORY

Otwarcie Wioski, coś mało nas. Rozmawiamy, wypowiedzi różne, miłe. Ciągłe mam jednak wrażenie, że niedokończone. Mówię i ja. Wyznaję, że spotkanie owszem cieszy i wspólnota, fajnie, fajnie. Tylko dziwnie mi jakoś. Nie tak radośnie, jak to niegdyś bywało, i że z góry przepraszam za trudności komunikacyjne.

Zdziczał człowiek i zapuścił się w głąb mgły (covidowej i niecovidowej), w której przyszłości żadnej nie widać, w której trudno rozpoznać znane przecież twarze. Wątek tego smutku nie potoczył się dalej, ale ludzie podchodzili do mnie potem i mówili cicho, że wiedzą, o co chodzi, że także ostatnio doświadczają nieznanej dotąd odmiany przygnębienia.

Zimno. Atmosfera wokół aktualnych wydarzeń (związanych zawsze z programem festiwalu) niepokojąca, bez perspektywy na poprawę. Praca – najpierw warsztatowa, potem organizacyjna – szła mi opornie. Pełzłam jakoś przez tę Wioskę, wiedząc, że na pewno pełzną ku czemuś, bo przecież każda Wioska oznacza przełom.

W trudzie działania w niepewnej rzeczywistości chodzi nam chyba głównie o podtrzymanie funkcjonującej w Teatrze „Stacji Ładowania Akumulatorów” i powstałej wokół niego ruchomej zbiorowości. Zwłaszcza teraz ważne jest, abyśmy nie przestali wspólnie kombinować, jakby tu, choć o odrobinę poprawić ten świat. Nawet jeśli wolniej i trudniej, niech nadal się kręci. Niech powstają nawet małe „momenty”. Let it be.

Pewnego wieczoru, nagle spłynął spokój. Nie wiem, jak się tu znaleźli, ale wszyscy są. W oberkowej dyskoteczce podpieramy się jeden o drugiego, pełni smutku, ale i miłości i zaufania. Nie przerywając płąsu, pytam Starego Kumpla „Jak się czujesz?”. Odpowiada: „Wiesz siostra... średnio”. Myślę, myślę... „Najważniejsze, że teraz jesteśmy wszyscy razem” – mówię. Tej nocy powietrze znów wypełniło się tym czymś dobrym i magicznym, które to niegdyś w tak wielkich ilościach bywało.



fot. Magda Bremer

Fenomenem tej edycji była dla mnie muzyka – alternatywną, bezwysiłkową metodą komunikacji oraz głębokiego spotkania, kiedy nie mamy siły gadać. Dźwięki wytwarzaliśmy w każdej wolnej chwili jakby na zapas. Sobota, ostatni pełny dzień programowy. Pada rekord. Mimo deszczu i nasycenia dotychczasowymi wydarzeniami festiwalu grane było przez 17 godzin z przerwą na posiłek oraz równie krzepiący spektakl *Frau mit Automat*.

Na *Poranek Walpurgii* Mutka zorganizowała słońce, nareszcie! Na koniec nadleciały żurawie, swoim krzykiem jakby chciały wyrazić uznanie dla leśnej wystawy i całej Wioski. Zaczynają żegnać się i my wraz z nimi przystępujemy do pożegnań. Do następnego spotkania, tym razem w słońcu!

Maria Helena Legeżyńska

Redakcja
Agata Ziółkowska
Maria Helena Legeżyńska

Rysunek na okładce
Daria Kozłowska

Dofinansowano ze środków
Urzędu Marszałkowskiego Województwa
Warmińsko-Mazurskiego



Dofinansowano ze środków
Funduszu Aktywizacji Twórczości Teatralnej
Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie

